

Bankructwo nowoczesnej techniki wojennej w warunkach terenowych Abisynji

W związku z dotychczasową kampanią włoską w Afryce wschodniej ciekawe uwagi zamieszcza „Frankfurter Zeitung” w korespondencji specjalnego wysłannika. Ponieważ Niemcy mogą być raczej posądzane o sympatię dla Włoch, niż dla Abisynji, więc uwagi korespondenta, posiadającego niewątpliwie dokładne informacje o stanie rzeczy na froncie włoskim, zasługują na tem baczną uwagę.

BEZ DECYDUJĄCEJ BITWY

Korespondent stwierdza na wstępie, że chociaż wojna trwała do chwili wysłania przezeń tych wiadomości już 64 dni, nie doszło do żadnej większej bitwy, miały zaś miejsce jedynie utarczki, które nie stanowią nawet przygotowania do rozprawy decydującej. Włosi powołują się na to, że, zajmując prowincję Tigre, posiadają jedną ósmą obszaru całego cesarstwa abisyńskiego. Istotnie na obszarach Tigre poruszają się liczne korpusy armii włoskiej, nie mniej jednak znajdują się obok nich silniejsze lub słabsze oddziały abisyńskie, które nie pozwalają Włochom ani na chwilę zaprzestać akcji. Gdyby Włochom zabrakło materiałów pędnych, oddziały włoskie znalazłyby się w bardzo trudnym położeniu. Naczelne dowództwo włoskie poczyniło wprawdzie wszelkie starania dla nagromadzenia materiałów pędnych w ilości należytej, musiało jednak stwierdzić, że na wypadek zmniejszenia się dowoza trzeba byłoby całkowicie zmienić dotychczasowy sposób prowadzenia wojny, gdyż korzystanie z samolotów, wozów pancernych i czołgów — w ogóle całej broni zmotoryzowanej — byłoby niemożliwe. Stwierdzono też, iż spożycie benzyny w okolicach podgórskich, w których dotąd toczyły się walki, jest olbrzymie.

NAWROT DO MUŁÓW I OSŁÓW

To też, wzgardziwszy na początku wojny pierwotnymi środkami transportu, jak osły, muły i wielbłądy, dowództwo włoskie dziś wraca do nich skwapliwie, co ma nie jeszcze plus, że przy korzystaniu z takiego transportu nie potrzeba myśleć o zakładaniu dróg, których budowa pochłaniała dużo pieniędzy i jeszcze więcej pracy ludzkiej. Doświadczenie włoskie uczy również, że, przygotowując się do wojny z Abisynją pod kątem widzenia doświadczeń wojny światowej na terenie europejskim, Włosi zorganizowali olbrzymi aparat, który okazał się zaraz po pierwszych tygodniach walk zażkodą niż pomocą. O ile Barattieri miał pod Aduą za mało żołnierzy, de Bono i Badoglio mają ich za wiele.

Jeszcze jedno trzeba podkreślić: chociaż Włosi wystąpili z wielkimi przygotowaniami, rozporządzając najbardziej nowoczesnymi środkami walki, los nie dał im ostatecznego zwycięstwa, a sposób prowadzenia walki przez Abisyńczyków jest tego rodzaju, iż dowództwo włoskie myśli, czy nie lepiej byłoby, gdyby w Afryce wschodniej armia włoska nie była tak olbrzymia, gdyż pokrycie jej potrzeb nie byłoby wtedy tak kosztowne. Armia powinna być znacznie mniejsza, ale zato silna, w każdej chwili gotowa do uderzeń, wytrzymała na wszelkie trudy, dobrze informowana i prowadzona przez poszczególnych do wódzów, obciążonych z warunkami kraju, w którym walczą. Siłę uderzeń takiej właśnie armii można byłoby wyzyskać każdej chwili.

BALASTY

A tymczasem w obecnych warunkach walki, każdy człowiek, o

ile nie jest bezpośrednio konieczny, staje się niebezpiecznym balastem, ale jeszcze niebezpieczniejszym balastem jest silnik. Nietylko dlatego, że pożera olbrzymie masy benzyny, zużywając się, pada ofiarą górskiego terenu, który w dodatku nie pozwala na właściwe wyzyskanie go, ale jeszcze i dlatego, że wymaga pracy dodatkowej w postaci budowania dróg. A ile budowa dróg pochłania materiału i pracy ludzkiej, z tego Włosi dopiero obecnie zaczynają sobie zdawać sprawę.

Włosi są pierwszym narodem europejskim, przeżywającym doświadczenia, nabyte podczas wojny światowej, na terenie wojny kolonialnej. Okazało się, że współczesna technika wojenna zbyt wielkie miała o sobie wyobrażenie. Wszyscy wierzyli, że nie się nie ostołi wobec znakomych ulepszeń, poczynionych w zakresie wyposażenia armii w ciągu ostatnich lat dwudziestu, że wszystkie te ulepszenia dadzą się z powodzeniem zastosować nie tylko w Europie, ale i w każdej innej części świata. Okazało się jednak, że w grę wchodzi jeszcze ważniejsza sprawa, mianowicie sprawa skombinowania i dostosowania nowoczesnej techniki wojennej do pra-

starych sposobów prowadzenia walki, stosowanych w Abisynji od tysiącleci.

TRUDNOŚCI DLA LOTNICTWA

Sądzone też, że wielkie zwycięstwo zapisze na swój rachunek włoskie lotnictwo. A jednak dziś nie można stwierdzić i może lata upłyną, zanim będziemy w stanie, na podstawie materiału faktycznego, wywnioskować, jak dalece lotnicy włoscy spełnili swą rolę w charakterze obserwatorów czy miotaczy bomb. Jedno jest pewne, że nawet dla lotnictwa warunki walki w Abisynji są bardzo ciężkie, że każde lądowanie przymusowe jest tam równoznaczne z katastrofą. że akcja wyprawowa, ataki bombowe i t. p. pociągały za sobą ze strony włoskiej olbrzymie ofiary w ludziach i jeszcze większe w materiale wojennym.

BANKRUCTWO EUROPEJSKIE GO POJĘCIA WOJNY.

Jeśli uprzytomnimy sobie fakt, że armia włoska dyscyplinowana, świetnie uzbrojona, i licząca kilkaset tysięcy ludzi, walczą przeciwko bądźco bądź pierwotnie uzbrojonej wrogowi, musimy się zdziwić, że w ciągu przeszło dwu miesięcy osiągnięto tak małe wyniki.

Mówi się, że dowództwo włoskie źle zabrało się do prowadzenia wojny. Musiano jednak wiedzieć o niedociągnięciach, skoro odwołano gen. de Bono i mianowano na jego miejsce gen. Badoglio. Ale trzeba tu bezstronnie przyznać, że liczne zastrzeżenia i uwagi krytyczne godzą nie tyle w armię włoską i w jej dowództwo, ile w ogóle w europejskie pojęcie o współczesnej wojnie kolonialnej.

Wojna włosko - abisyńska jest wypadkiem bez precedensu. Przyjść kiedyś dzień, kiedy europejskie sztaby generalne posiadać będą całkowity materiał dowodowy, dotyczący tej wojny. Wtedy dopiero będzie można ocenić całą jej przebieg i stwierdzić, gdzie były błędy. Dziś nie można ferośnie wyroków wobec braku wystarczającego materiału. Wszystkie usługiśmy stworzyć sobie właściwy obraz operacji wojennych, usiłujemy go odrysować bodaj w grubych liniach, ale prztem zdajemy sobie sprawę, że te zarysy nie oddają jasno i wyraźnie istotnego położenia, i że dopiero historia da nam to wszystko, co prawdziwemu stanowi rzeczy w Abisynji zupełnie odpowiada.

J. W.

Na ekranach

„PIEKŁO” W KINIE „RIALTO”

Amerykański film Fox'a z wizją piekła z „Boskiej Komedji” Dantego, mający w oryginalnym tytule „Dante's Inferno” jest bumbulem, co się zowie. „Boską komedję” potraktowano po handlowemu, to znaczy postawiono pytanie, jakby tu zrobić pieniądze na ludzkim strachu przed smażeniem się w ogniu i jak wielki poemat przerobić na film sensacyjny.

Na pytanie reżysera i scenarzysty o powiedzenie sobie mniej więcej w ten sposób: film musi mieć stempelkę wzniosłego misterjum i tendencję szlachetną, ponieważ zaś z drugiej strony musi być sensacyjny i zbytnio nie odbiegać od normalnej produkcji filmowej, najlepiej wpakować do moralnego piekła jakiegoś kryminalistę, a potem wyprowadzić go na uczciwe drogi życia. Żeby zaś móc fotografować „piekło”, kryminalista będzie w chwilach wyrzutów sumienia oglądał wydanie „Boskiej Komedji” ilustrowane przez Dorego.

Dantejskie piekło związane jeszcze z amerykańskim biznesem ta sprytą metodą, że same kręgi piekielne przerobiono na zyskowne przedsiębiorstwo. Bohater filmu zbudował coś w rodzaju panoramy piekła: za jedne 30 centów każdy może oglądać diabłów i potępionych i żywe modele Kleopatry, Salome i t. d.

Muzeum w połączeniu z „piekłem” prosperuje doskonale, póki wskutek zaniedbania kosztownej naprawy, nie nastąpiła straszna katastrofa grzebania zwiedzających pod gruzami gmachu. W filmie katastrof nie brak: jest jeszcze pożar okrętu efektywnie zainscenizowany, niewątpliwie najlepszy moment filmu.

„Gwóźdź programu” t. j. wizja daniejsza wypadła bardzo słabo. Dużo czerwieni, mało konturu i wyrazistości. Rozmiary dekoracji nie decydują jeszcze o sile wrażenia.

Z obsady aktorskiej nikt nie zasługuje na specjalne wyróżnienie.

„DYKTATOR” W KINIE „MAJESTIC”

Dla kontrastu — porównanie z angielskim filmem historycznym, wystawionym w prawdziwie stylowych kostiumach, wyreżyserowanym z piętyzmem i dużym smakiem artystycznym i granym przez świetny duet: Olive Brook i Madeleine Carroll, której grę

pełną umiaru i subtelnej ekspresji pamiętamy z filmu „Siostra Marta” jest szpiegiem.

To akcji stanowi królewski dwór duński, samą zaś akcję walka o serce królowej, z pochodzenia Angielki, prowadzona przez zagadkowego przybysza z zagranicy.

Kulturalny stosunek do tematu i wykonania uderza z każdego niemal szczegółu. Można na ten temat pisać nawet jak na zbiór pięknych fotografii, czy sztychów z minionej epoki, i już w tem samym znajdować przyjemność.

Produkcja amerykańska stanowiła przeżywa kryzys. W dziedzinie komedji wypiera ją z Europy film austriacki, węgierski i niemiecki, dramat kostiumowy zdobywa dla siebie Anglię, dramaty obyczajowe — Francję. Jeden jeszcze tylko atut pozostaje w rękach amerykańskiego partnera: tempo i montaż, czem pochwalili się niestety nie może „Dyktator”.

„ZACZEŁO SIĘ OD POCAŁUNKU” W KINIE „RIALTO”

Z trzech wymienionych dziś programów film bospornie najbardziej udany. Przemila komedia amerykańska, grana przez Joan Crawford (jedną z najlepszych jej ról), reżyserowaną przez Van Dyke'a. Połowa filmu jest istotnym filmem (ruch i piękne plenery), druga połowa komedią obyczajową, raczej teatralną, niż filmową.

Obsada aktorska, dowcip dialogu i pomysłowość reżysera wynagradzają wszystko prócz jednego „pustego” miejsca. Każdy szczegół konieczny i rzeczny, całość zwarta akcja szybka, a przeprowadzona dyskretnie. Treść powierzoną: miłość młodej młodziarki i młodego uczonego (archeologa) gotego jak przysłówiony święty turecki. Treść głębsza. Konflikt życia człowieka twórcy parcy, z życiem bogatego niczoba — pasorzyta. Miłość zwycięża wszystko, więc i ekscentryczną młodziarkę (Crawford) zamienia w towarzyszkę życia i pracy dzielnego kierownika wyprawy archeologicznej.

Zamiast wiele pisać o tym kamerajnym filmie (obecnie najlepszy rodzaj filmu amerykańskiego) lepiej powiedzieć krótko: w zakresie wymagań do brzy rozrywki film pierwszorzędny. Jakkąkolwiek pochwał i zachętę do spędzenia wieczoru w „Rialto”.

Z. B.

Jak polepszą akustykę wiekiego studia rorgłówni warszawskiej

W grudniu nastąpiła poprawa w brzmieniu audycji orkiestrowych i fortepianowych z wielkiego studia rorgłówni stołecznej. Poprzednie brzmienie występowały specjalnie przy utworach na większą orkiestrę. Wszakże dotychczasowe wysiłki zmierzające do poprawy brzmienia nie dawały większych rezultatów. Wobec istnienia transmisji z Filharmonji Warszawskiej brak ten nie dawał się tak dotkliwie wie znaki.

Sezon obecny przyniósł koncerty symfoniczne do studia — sprawa poprawy warunków akustycznych stała się zagadnieniem, domagającym się natychmiastowego rozwiązania. Terminem prekluzyjnym stał się dzień 3 grudnia, t. j. „dzień polskiego koncertu europejskiego”. Doświadczenia i próby prowadzone z Inicjatywy Kie-

rownika Muzycznego P. R. p. Edmund Rudnickiego doprowadziły do usunięcia wszelkich prawie kotar, zasłon i powierzchni tłumiących dźwięk, dzięki czemu duże studio P. R. uległo powiększeniu w przybliżeniu o 30 metrów sześciennych; okazały się, pienne wszelkie obawy, że brak kotar spowoduje zniekształcenie, ostrość i t. p. brzmienia.

Druga inowacja polega na tem, że rozmieszczono w różnych punktach kilka mikrofonów. Poza uzyskaniem pełni brzmienia z instrumentów, na płaszczyźnie brzmienia, powstał tak zwany „raumton”, który da się uzyskać tylko w przestrzeni, wreszcie zaczął być brzmienie fortepianu, który choć nowy, bo sprowadzony w roku ubiegłym, nigdy dotychczas nie dawał swego naturalnego brzmienia.

Z radja

Gdy mikrofon naprawdę żyje

Tajemne są prawa radjowego kontaktu.

Pod względem fizycznym nie byłoby trudności. Wszystko jest wiadome, jasne i proste: elektryczność, eter, fale, drganie membrany... Słowem, postęp techniki i jej triumf nad człowiekiem, którego głos tylko dzięki tej wszechmocnej technice uwielościł się w setki tysięcy i miliony, docierając wszędzie, gdzie tylko jest ktoś do słuchania.

Ale pod względem psychicznym? Tuż operujemy stale pojęciem: niewiadomo.

Siedzi prelegent w niewielkiej kabinie, szczelnie od całego świata zewnętrznego odseparowanej i rzuca swoje słowa w milczącą bezdenną mikrofonu. Czy go kto słucha — i kto mianowicie? W jakiej formie dochodzą doń słowa prelegenta i jaki budzą odźwięki? Czy trafiają do serce i rozumów, czy wzruszają i przekonywują, czy też tylko — brzęczą? Niewiadomo...

A tak samo zespołowi artystów, którzy się zbrali w studio — również hermetycznie odgródzonym od wszystkiego, co jest poza tym pokojem — aby się trząść nad wywołaniem u słuchaczy pewnej wizji czy iluzji, niewiadomo jest prawie nigdy, czy i jaki efekt ich wysiłki wywołują.

Masa więc pracy zbiorowej, nie raz bardzo nawet skomplikowa-

nej, przepada bez śladu i echa, albo z echem wybitnie ujemnym. tak samo jak w próżni trafia najpracowitsza erudycja i rzeczowość prelegenta.

Z powodu? Brak kontaktu psychicznego. Bez niego zaś kontakt fizyczny, ten który wynika z techniki, staje się tylko pustym dźwiękiem, przemijającym bez wrażenia.

Położyłem poprzednio nacisk na słowie „prawie”. Bo jednak, są już na tych rozległych toniach „niewiadomego” pewne miejsca, wylaniające spod siebie grunt twardy. I są tacy Kolumbowie, którzy wiedzą, jak się na ten grunt trafia.

Przekonali się o tem eksperymentalnie — czy to zespół lwowskiej Wesołej Fali albo przynajmniej jej najpopularniejsze „typy”, czy też niektórzy prelegenci lub artyści, którzy mieli sposobność stwierdzić pozytywny odźwięk u słuchaczy. Dla nich więc „niewiadome” traci swój groźny charakter.

Ale i tu — z zastrzeżeniami. Stajemy n. p. popularnego prelegenta, „połujemy” na każdy jego występ przed mikrofonem i... coraz bardziej nabieramy rozczarowania. Jwazco tak niedawno zachwycił nas, ba nawet zachwycał — a teraz coraz jest bledszy, coraz bardziej obcy. Kontakt — zanika...

Dlatego to zastrzeżenie „pra-

wie” ma sens obosieczny. Grunt kontaktu ze słuchaczem jest pochodzenia wulkanicznego. Chociaż twardy, nie jest pewny, lubi nie raz zapadać się spowrotem w topiel.

Więc jakaż jest nie przewodnia dla zorientowania się „ludzi radjowych”, czy naprawdę trafiają do słuchacza?

Powróćmy do określenia: grunt pochodzenia wulkanicznego. A zatem wybuchowego, żywiołowego. Z bardzo wielkich głębin oceanu duszy ludzkiej wylania się on na światło dzienne — i nie dzięki technice, ale prawem żywego. Można powiedzieć, że w radjo mówi się za swoje zniewolenie ujarzmienia przez technikę natury: ponieważ technika jest tak bardzo wysoka, dlatego właśnie tak jest trudno tchnąć w nią — duszę.

Bez tego zaś nic nie „pójdzie”. Wszelkie „gierki” i sztuczki — za wodzą. Oryginalność głosu, pewne efekty akustyczne, pewne frapujące ujęcia — wszystko to działa tylko na krótki dystans, później zaś prawem reakcji zaczyna coraz bardziej nużyć monotonią. Jedynie bezpośredniość, do maksimum posunięta, a jednak (zwłaszcza jeśli o zespoły chodzi) nie zaniedbująca uświadamiania sobie, na czem jej siła polega — jedynie to pozwala natrafić odruchowo na ten grunt, jako się rzekło: wulkaniczny — i nie utraci go spod nogi.

Zilustrujmy rzecz paru przykładami z ubiegłego tygodnia, w tę i „wewtę” stronę.

Ostatnia Wesoła Fala, przedstawiająca obchód srebrnego wesela u Stroncia, była klasycznym wodem, jak doskonale współbrzmienie we wszystkich głosach i u wszystkich przy nich słuchaczy można osiągnąć, gdy mikrofon naprawdę żyje. Była tam nawet wpleciona propaganda radjofonii, ale jakże dyskretna i przez to właśnie skuteczna — zresztą niepozobawiona satyrycznej pikanterji (na temat t. zw. po ważnej muzyki). Co jednak najważniejsze: słuchając tej audycji miało się wrażenie, że się asystuje osobiste przy Stronciowej uroczystości! W pochodzie wojowym Wesołej Fali jest to bodaj że najwyższy z osiągniętych dotąd szczytów, gdyż nigdy jeszcze nie narzucała ona tak silnej gesty, że znajdujemy się w kołach starych, dobrych znajomych.

A dzięki czemu? Ktośkolwiek skłonny jest niedoceniać w radjo znaczenia wykonania na rzecz samego tekstu, niech powie: czyż samo już pierwsze usłyszenie głosów tej popularnej lwowskiej wesołej trójki nie wywołuje podobnego wrażenia, jak zjawienie się na scenie znanego aktora — niezależnie od tego, co mówi i zanim nawet zacznie mówić? I w tem właśnie wielka siła ich efektu.

Alc to są rzeczy „robione”, prawie wyreżyserowane. Bywają jednak także kontakty innego rodzaju. Mam na myśli dwie prelekcje.

Pierwszą była opowieść p. Jana Kleczyńskiego o wycieczce w Pieniny, sugestywnie napisana, ale jeszcze sugestywniej wygłoszona. Autor nie jest mówcą, nie

jest nawet „radjofoniczny” w przyjętem powszechnie znaczeniu — a z jakimże zaciekawieniem słuchało się jego opowiadania, prostego a wnikliwego, jak woda w Dunaju, zmieniającego barwę głosu, zależnie od zmian opisywanych nastrojów. Takich rzeczy nie da się „wypracować”, natomiast same z siebie przychodzą, jeśli się mówi z serca.

I tak samo było w trzy później, gdy Kornel Makuszyński mówił o Reymonie — o tym Reymonie, który w dziesięciolecie po śmierci tak jakoś dziwnie mało, o wiecie zamało, jest wspomniany. Serce było pisane te słowa i sercem wygłoszone. I to był właśnie najpiękniejszy hołd pamięci wielkiego twórcy, gdyż wywołał u każdego ze słuchaczy głębokie, przejmujące, pełne skupienia wzruszenie.

A zdruzgłej strony — wemy wesoły skecz „Wielkie Łowy”. Czy warto było łakomić się na firmo- wane nazwisko Cami'ego i zaznaczyć nas z utworem, na którego zleusłyszeniu teżyby nikt nie stracił. Skoro zaś już go do Polski adaptowano, to jakie można było tak tę rzecz reżyserować, że na pierwszym planie przed mikrofonem stała zupełnie drugą nową parą słuchaczy, którzy szepotali do siebie (i to nie raz nawet niedosłyszalnie), zgło- lało maloznaczące uwagi na temat tego, co opowiadali sobie myślnie na planie drugim — ci zaś znowu musieli natężyć głosy i z tego właśnie powodu byli nieraz wręcz niezrozumiali?

Jakieś tragiczne nieporozumie-

nie. A od czegoż istnieją stoły miodulacyjne, pozwalające na przybliżanie i oddalanie głosów?

Z tą reżyserją akustyczną nie- zbyt mocno było także podczas słuchowiska „Houttensville” wzywa pomocy, nadawanego ze Lwowa, gdzie widocznie warunki miejscowego studia nie pozwoliły rozwiązać sprawy o tyle zadowalająco, bośmy głosy lecących samotem słyszeli na jakichś ustalonych planach, a nie to: raz jakby przez mgłę zadymki śnieżnej, to znowu jakby tuż obok w pokoju.

Ale główny defekt słuchowiska leżał w tekście. Kto nie przeczytał zapewne, objaśniającej bliżej o osobie autora, mógł i nawet musiał mieć wrażenie, że mamy do czynienia z przerobą z jakiegoś fabrykatu obcego. Ale gdy się potem przekonał, że ma do czynienia z dziełem młodego autora polskiego, to podziw ogarnął spowodu zgła niepolskiego podejścia do tematu.

Takich banalnych ujęć psychologicznych mamy sporo u autorów obcych — ale nas to nie razi, skoro i całe środowisko jest nam obce. Dlaczego jednak autorowi polskiemu tak zależało na podkreślaniu, że śmierć lotników nie jest bohaterstwem i w dodatku, że jest bezcelowa (bo zarazą już wygasła), trudno doprawdy zrozumieć.

Chodziło mu o „oryginalność” ujęcia? Ba, kiedy tego rodzaju oryginalność wywołuje u słuchacza wrażenie azuczości, o-b-c-o-ści. A to jest właśnie najwięk- szy wróg kontaktu psychicznego, a zatem i powodzenia audycji.

Marajin Grzegorzcyk